



Bogdan Jaremin (ur. w 1942 r.) – poeta, lekarz klinicysta, nauczyciel akademicki w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym, członek SPP, od lat związany z morskim środowiskiem pracy, redaktor czasopisma naukowego „International Maritime Health”. Debiutował w „Literach” w 1968 r. Publikował m.in. w „Odrze”, „Zeszytach Literackich” i „Toposie”. Autor zbiorów wierszy: „Śmiech w czarnej chuście” (1998), „Miłość do późnych rokitników” (1999), „Stare wnętrza lata” (1999), „Anioły żywiołów” (1999), „Wiersze z ciemnego światła” (2001), „Bez znużenia” (2003), „Notatki z milczenia” (2005), „Czarna skrzynka wiersza” (2007), „Ulotne rzemiosła” (2009), „Stroiciel mowy” (2011). W przygotowaniu „Treny lipca”. Mieszka w Gdyni.

Bogdan Jaremin Niedomknięte morze



czytanie Braille'em

ślepy jestem, po omacku sięgam
Braille'em czytam wodę, dukam

M jak fala zgrzywione, redyk zwelniony
O słono-gorzkie zachwytem ust dotyka
R warczy na mnie, rzuca się owczarek
Z pod wiatr ukosem halsuje, w lewo w prawo
E biegnie, dokąd – samo nie wie, goni za o-statkiem

fala szczęśliwie znaków diakrytycznych nie zna
jakoś dopadnie ogonków bryzgi ostre, ciernie
zadry słowa, linia nas pogodzi, horyzont bezgłośny
płaski, milczący wiecznie, więc w dotyku bezpieczny
dla przecinków rozplywnych i kropek stanowczych

gardło, oczy i uszy zbytczne,
tylko palców zmysłowość czujnie ciebie kocha
w rękach moich chciwych wilgotniejsz mowo

tłumacz morza

ziemia – słowo wyschnięte, ciężkie
słowo *puszka* cierpi na wodowstręt
niebo – słowo jak zбочce strome, niedosięgle
słowo *podróż* wije się, pełnie donikąd
życie – słowo niepewne siebie, skryte

otwarte na oścież *morze*, kołysze mnie słowem
ani kobiecym, ani męskim, jednością
gotową przyjąć wszelkie hołdy
elegię świtu, biały wiersz południa
zgięty kark zmierzchu, wypić inkaust nocy

płynie wytrwale przez bezkresne słowniki
własnej mowy, lepszej wersji świata
po złote runo papieru, indygo dźwięku
po drogocenną porcelanę ciszy, płynie
po świetliste jedwabie milczenia

ach, wyspy ust ludne, jarmarki źrenic
pełne są ciebie, *morze*, ładownie dłoni
kontynenty serca, gdzie mówisz wszystkim językami
cóż masz do roboty, tłumaczu, przyjęty
bez zadnych zadań, za szczodłą zapłatą zachwytu

budzenie się

to ranne budzenie
życia szukanie półsenne
jest, jest ze mną!
nie uciekło morze
leniwie się przeciaga
Atlanty we mnie
oddechem napelnia
niebieskie płuca
zwleka się biel, wstaje jasność
zaprzęga konie wiatru
palce długie po swoje
po horyzont wyciąga
puste strony kartkuje
i pisze tekst kanoniczny
blasku nad ciemnością

ten obcy

morze za burtą milczy
wpatruje się we mnie
ten obcy

wiem, że tam jest
lubię go nawet
jak domowy mrok

ciepły i oswojony
czasem mruczy przyjaźnie
schowany w głębi

kiedy się ujawnia, zjada całe światło
wąsy ociera z resztek ciszy
pręży się, przeciaga

i nagle rozwiera się paszcza
przepastna, gładka, bezżębna
otchłań

klonowanie

precyzyjnie, czysto
rozdzielamy słowa
łączymy geny liter
wiązania dźwięku i rytmu
kontrolujemy proces natchnienia

skupieni nad tygłem metafor
schładzamy emocje
wyważamy racje
mieszamy w napięciu
znane składniki

i nagle
tyle zwątpienia, lęk
że klonujemy
ten sam wiersz
nie wiedząc, czy przeżyje

wrastanie w morze

wyszedł z ciemnego przedsionka
swoich siedmiu lat
i zobaczył je po raz pierwszy

czarne jak ofiarna krew
białe jak dym niepamięci
łapczywie chleptało błękit

wchodziło w otwarte źrenice
falowało jak życie
odnawiało wieczny spektakl
narodzin i trwania

i poczuł, że jest jednym z bytów
zimnym bezkresem północy
południem na gorącym piasku
szumem na brzegu milczenia

do utraty tchu
po kryjomu oswajał morze
wraszało w niego jak korzeń wiersza
dojrzywało, pożerało żywcem
z łagodnym okrucieństwem

i przerażała go miłość zwierzęcia
odwzajemniona po kres

wdzięczność

jest wdzięczny

muzyce, że między nutami jest pauza
codzienności, że nieustannie przędzie i pruje
tkaninę zgody na świat
braciom w nałogu słowa
że nie on jeden skazany jest na głód

przestrzeni wiersza, że większa
od tej, którą zajmuje ręka
że odkrywa nieopisane prawo ewolucji
od pewności do wątpienia

Bogu, że nie oznajmił mu wszystkiego
czego pragnęła głupia zachłanność
prostocie wiary, że nie jest płaską
linią kardiogramu
drodze w ciemności, że pokłada w nim
ufność dobrego wyboru

kotu, że uczy go cierpliwie, za darmo
gramatyki miauczenia i mądrości milczenia
drzewu, że puka codziennie w okno
sprawdzając, czy żyje

wdzięczności, że nie umarła młodo
życiu, że bardziej jest, niż go nie ma

słońce

ma południowy akcent
nie zatrzymuje się nigdzie na dłużej
ubrane w biel, głosi wędrowną radość
zmęczone podpięta się cieniem
kiedy ogarnia je słabość
nocuje w starym, opuszczonym morzu
naciąga lichy płaszcz śpiewu
i śni czuły blask słów
którymi rano porwie nas za sobą
idąc po wodzie
ponoć ten scenariusz
wymyślono już dawno, dawno

pogoda

śmierć, to wielkie, białe słowo
jak wiosenna chmura stoi nieruchomo
beztroski latawiec trzepoce na sznurku
niebo zaciska usta, by nie pytać
skąd nadciąga nagła zmiana pogody
skąd wiatr, skąd płacz